

Weatherley Chesney.

## SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

13

Rozmowny jegomość nie poznał mnie, natomiast ja go natychmiast, mimo, że zewnętrzny jego wygląd, od nowiuteńkiego cylindra, do doskonałych lakierków, nie wskazywał w niczem, że jest to ów obdarty wagabunda, który nazwał się dr. Fitzgerald. Widziałem go wówczas nad stygnącymi zwłokami Lady Florence. Czegoż chciał on tu w hotelu? Może był u Mr. Keighleya Gates, a w takim razie jakie interesa łączyły ich obu?

Nie miałem czasu na razie zajmować się tymi zagadkami, gdyż stanąłem już przed drzwiami pokoju p. Gates.

Pan ów znajdował się widocznie w złym humorze, siedział z ponuro zsuniętymi brwiami, a pozdrowienie, jakim mnie obdarzył, kiedy mnie poznał, było bardzo niegościnne.

Pan mi wybaczy, kapitanie, że zastaje mnie pan w usposobieniu mniej wesołym. Przeziębilem się szkaradnie, nadto miałem dzisiaj rano kilka nieprzyjemności, które wytrąciły mnie z równowagi.

— Czy i obecność dr. Fitzgeralda do tego się zalicza? — spytałem żartem.

— Dr. Fitzgeralda? zdziwiony spojrzał na mnie.

— Właśnie spotkałem go na korytarzu i zda wało mi się, że ślad idzie. Wysoki, szczupły mężczyzna, mówi urywanymi zdaniami.

— Ach, o tym pan mówi? A tak, był tu z prośbą o wsparcie, nie takie jednak nazwisko wymienił, jak pan. Czy pan go zna?

— Owszem, widziałem go ostatni, a właściwie jedyny raz, w ową noc, kiedy zamordowano Lady Florence. Okazywał on wtedy wielką ochotę obrabowania trupa.

Mr. Gates zdziwił się i zapytał:

— Czy nazwisko jego było wspomniane przy rozprawie sądowej?

— Ma się rozumieć, jemu przecież zawdzięczałem, że zostałem aresztowany. Niech pan przeczyta tylko sprawozdanie dzienników.

— Istotnie, ma pan rację, przypominam sobie — odpowiedział Gates. — Że to właśnie był ten człowiek, jest dla mnie nowością. Bardzo dziękuję, że mi pan zwrócił uwagę. Niech on się tu jeszcze raz pokaże?!

Przez chwilę mówiliśmy o tem, o owem, wreszcie zapytałem się, czy ma jakie wieści z Ameryki.

— Jeszcze nie; na list zawczasie, ponieważ dotychczas nie nadszedł żaden kablogram, nie mogą go widocznie wyszukać. A pan wie coś nowego?

— Nic istotnego — odpowiedziałem ostrożnie. Nie uważałem za potrzebne wtajemniczać go w szczegóły mej podróży do Huiton i w to, co się dotychczas dowiedziałem. — Odkryłem jedynie jeden bardzo szczególny wypadek, co do którego może pan da nam jakie wyjaśnienia. Kiedy swojego czasu Lady Florence Moslyn zniknęła, książę Lundy posłał jej fotografię do biura policyjnego. Była to fotografia amatorska, na co zwracam uwagę. Obecnie odkryliśmy, że fotografia ta zniknęła z albumu, a na jej miejsce wklejono inną. Przyniosłem ją ze sobą; może ją pan łaskawie obejrzy? Czy nie zna pan tej damy?

Mr. Gates wziął podobiznę, przyglądał jej się przez chwilę, poczem rzekł:

— Owszem, znałem tę damę, zdaje się, że mam gdzieś nawet kopię tej fotografii, robota amatorska, jak pan to słusznie podkreślił. Brak bowiem podpisu fotografa. Jest to niejaka Mr. Cecil Slater, poznałem ją na okręcie indyjskim. Skąd jednak właśnie ta fotografia dostała się do biura policyjnego?

— To właśnie pragnąłbym się dowiedzieć Mr. Gates?

— Nie do pojęcia, nie rozumiem!

Podszedł do komody, szukał tam chwilę i wydobył wreszcie ową fotografię, którą widziałem ostatni raz.

— Patrz pan, ta sama odbitka. Zgadza się zupełnie. Proszę, niech się pan o tem przekona.

I że pan właśnie do mnie z tem przyszedł? Dziwny zbieg okoliczności, bardzo dziwny!

— Jeśli pan chce wiedzieć prawdę, Mr. Gates, widziałem tę fotografię w ubiegłym tygodniu, kiedy byłem tu u pana. Proszę sobie przypomnieć, że komoda nie chciała się dać zamknąć. Obrazek zwrócił moją uwagę zupełnie mimowoli, kiedy pan pokazywał mi swe osobliwości. Miałem wrażenie, że to jest ta sama fotografia i dlatego przyszedłem, aby się o tem upewnić.

Gates rozśmiał się.

— Zdaje mi się kapitanie, że z pana byłby świetny detektyw. Pan robi doskonale postępy. Bystrość i umiejętność obserwacji zdumiewająca. winszuję panu.

Spostrzegłem sarkazm, jaki brzmiał w tonie jego słów, ale nie oburzyłem się, przecież sam przyznał, że nie jest w humorze. Zapytałem tylko:

W jaki sposób fotografia ta dostała się do albumu policyjnego?

— Tego nie wiem, w każdym razie ja tego nie zrobiłem.

Ma się rozumieć — odpowiedziałem, śmiejąc się — czy nie przypuszcza pan jednak możliwości jakiegoś związku między tą damą a morderstwem?

— O tem nie mogę nic powiedzieć. Poznałem ją swojego czasu, gdy wracała z Indii i słyszałem, że umarła w przeszłym roku. Bardzo ujmująca, była ogólnie lubiana. W czasie podróży ktoś z towarzyszy ją fotografował i ona podarowała mnie i kilku innym osobom po jednej odbitce. Oto cała historia.

Do dyabła! Spodziewaliśmy się, że tu znajdzie się nowy punkt zaczepny, a tymczasem okazuje się zupełnie bezwartościowym. Nie mogliśmy w ten sposób dowieść pochodzenia fotografii.

— Może mógłby mi pan powiedzieć, kto prócz pana posiada odbitki tej fotografii?

— Nie. Nie wiem ani, ile było kopii sporządzonych, ani w czyje ręce się dostały. Pan, który je robił, zwał się Ralston; jest urzędnikiem cywilnym w Indyach, przypuszczam, że będę mógł postarać się o jego adres.

— Wątpię bardzo, czy ten pan może być dla nas pożytecznym. W każdym razie nic to nie zaszkodzi. Z wdzięcznością przyjmuję pana propozycję, Mr. Gates; może pan sobie także przypomni, jak się nazywali inni pasażerowie, obdarzeni fotografiami.

Mr. Gates obiecał mi, że wedle możliwości uczyni wszystko, poczem pożegnałem się. Nie był on dla mnie sympatyczny, ale przynajmniej okazywał chęć dopomożenia mi. W dwóch sprawach udzielił mi w każdym razie ważnych informacji.

Poszedłem do biura policyjnego, aby zwrócić pożyczoną fotografię. Urzędnicy znali mnie już doskonale, zjawiałem się tam bowiem w ostatnich czasach kilkakrotnie. Kiedy miałem już odejść, jeden z nich przyzwał mnie do siebie.

— Panie kapitanie, mam dla pana wiadomość. Jenkins, jeden z moich kolegów, wrócił właśnie z podróży urzędowej do Argentyny. Przed wyjazdem miał on tu nadzór nad albumem zaginionych, wobec czego opowiedzieliśmy mu zaraz historię ze zmienioną fotografią. Otóż przypomina on sobie rysopis owego obcego i dowiedział się jego nazwiska. Nie wątpi on, że to ten właśnie wymienił fotografię.

— A jak się nazywa?

— Niejaki pan Keighley Gates. Czy go pan zna?

## ROZDZIAŁ XIII.

## Ciemne plamy.

To, co teraz następuje, dowiedziałem się z różnych źródeł i to znacznie później, niech mi wolno jednak będzie, już teraz wszystko opowiedzieć, aby zachować ciągłość wypadków.

Dobry humor Mr. Gatesa był w tym dniu od rana już popsuty kilkoma drobnymi przykrościami. Treść nadeszłych listów była wielce niezadowolająca, a nadto jeszcze ta wizyta owego dr. Fitzgeralda! Przyszedł on ani oczekiwany, ani pożądaný i dlatego nie usiłował nawet swej niechęci wobec niego ukryć!

— Ach to ty! — powitał go bardzo niełaskawie. — Czy przynajmniej zapukałeś wchodząc? Nic nie słyszałem.

— To się też nie stało, palce sztywne, rączka od parasola wygięta, różne powody, jeśli o to chodzi.

— Nie wątpię. Czego ty dzisiaj właściwie odemnie chcesz? Gadał zaraz, bez wykrętów.

Dr. Fitzgerald przetaił z lubością jedwabną, jaskrawą chustką swój wysoki, błyszczący cylinder i ustawił go następnie z gracyą na stole. Powiesił parasol, zdjął powoli z namysłem rękawiczki, złożył je i wsunął do kieszeni. Rozejrzał się po pokoju, wreszcie usiadł w najdogodniejszym fotelu, oparł się w nim głęboko, złożył ręce, założył nogę na nogę, w końcu spojrzał na Mr. Gatesa.

— Usadowiłeś się dostatecznie wygodnie? — rzucił Mr. Gates.

— Ma się rozumieć, najdroższy. Wspaniały pokój, doskonały fotel, kochany gospodarz, czegoż jeszcze? Gratuluję, dobry smak, meble wyjąte!

Mr. Gates nie odpowiedział na te pochwały.

— Jeśli ci już tak dobrze, możesz z całą szczerością przedstawić swe życzenie. Czego chcesz?

— Pieniądzy, mój drogi, pieniędzy. Funty, szylingi, pensy, ręka rękę myje.

— Więc tobie pieniądze potrzeba?

— Poczciwy chłopak, trafił odrazu w sedno!

Mr. Keighley Gates odsunął szufladę i przyniósł książkę.

— Patrz, Richmandzie, oto jest konto moje bankowe. Czy widzisz te 500 funtów bilansowych, które nie stoją po właściwej stronie?

— Na mą duszę, naprawdę tak jest, kłoby to jednak przypuszczał — odpowiedział Fitzgerald, wcale nie wyprowadzony z równowagi.

— A ten oto list — ciągnął dalej Gates — pochodzi od mojego bankiera Reich i Sp.

— Znam doskonale, bardzo solidna firma.

— Zwracają mi uwagę, że nie są w możności wypłacać nadal moje czek. Przekonaj się sam.

— Niebywała bezczelność! Na coś podobnego nigdybym nie pozwolił.

— A tu kilka dalszych skarg — tłumaczył Gates dalej, podsuwając swemu gościowi cały stos różnych papierów. Ten spokojnie pochylił się i czytał słodziutkim głosem:

— Sznipps i Bolzen — kostium myśliwski, czarny tużurek, frak na jedwabnej podszewce, zarzułka podbita futrem, — w wojsku nie służysz? Razem 155 funtów 6 szylingów. Silberman i Sp. złoty zegarek repetierowy, spinki brylantowe, złoty zegarek repetierowy, wszystko na sobie, Bobie? Suma 22 funty 7 i pół szylina. Durf i Synowie, kwiaciarnia, dwa wielkie bukiety, oh, jak ciekawie!

Mr. Gates wyrwał mu z wściekłością papiery z ręki, sięgnął do kieszeni, wydobył portmonek i wysypał jej zawartość na stół.

— Pairz, oto cała moja gotówka, funt i kilka szylingów.

— W sumie dwadzieścia cztery i pół.

— Zgadza się. Tak wyglądają moje zasoby finansowe. Będziesz wobec tego musiał gdzieś indziej zwrócić się o pomoc.

— Non sequitur. j'y suis, here i stop, zostaje tu — odpowiedział Fitzgerald.

— Nie bądź osłem, Richmandzie.

— Wszystko jest w granicach możliwości. Mojesz daję dobre rady.

— Nie rób dzieciństw, Richmandzie. Zbierz swe siły, chodzi o moją głowę, nie umię znaleźć wyjścia. Trafiłeś pod fałszywym adresem.

— Futro, złoty zegarek, dyamentowe spinki, pierścienie, bukiety, wcale na to nie wygląda.

Mr. Gates był tego ranka bardzo źle usposobiony, przytem miał wiele trosk i pustą kieszeń, dosyć powodów, aby gniew swój wylać na głowę niemiłego gościa.

— Do dyabła z twojem gadaniem! Zabieraj się i wynoś jak najprędzej.

Dr. Fitzgerald był jednak odważnym człowiekiem. Wstał, podszedł do Gatesa i dał upust swej złości, w słowach gwałtownych i krótkich.

— Podły tchórz! Czy sądzisz, że możesz używać, podczas gdy o wiele lepsi od ciebie nędzę cierpią? Sprzedaj twoje futro, dyamenty i bukiety, ostatecznie i twoją podłą duszę, jeśli ci tylko co za nią dadzą, ale znajdź jakąś radę, inaczej mówię ci, będziesz żałował.

Po wypowiedzeniu tej olbrzymiej, jak na niego przemowy, włożył rękawiczki, sięgnął po kapelusz i parasol i zwrócił się ku drzwiom.

(Ciąg dalszy nastąpi).